№ 9. Czwartek, dnia 2 Marca. Rok 1876.



WARSZAWA
dnia 19 Lutego (2 Marca)
1876 r.

Wychodzi w każdy Czwartek.

CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rsr. 6; półrocznie rsr. 3; kwartalnie rsr. 1 kop. 50; miesięcznie kop. 50.
Na Prowincyi i w Cesarstwie: rocznie rsr. 8; kwartalnie rsr. 2.

REDAKCYA
przy ulicy Mazowieckiej Nr. 1351.
(nowy 11).
Tamże przyjmuje się ogłoszenia.

KILKA SŁÓW O KRYTYCE DZIEŁ SZTUKI.

Zdawać sprawę w jakimbądź przedmiocie, — cóż dopiero z artystycznego u nas ruchu, — i powabną jest rzeczą i zarazem pełną cierni. Sprawozdawca bowiem winien być koniecznie krytykiem; inaczej, wyręczy go lada katalog, choćby nawet niekoniecznie rozumowany. Więc ganić musi, lub chwalić. Dobrze jeszcze to drugie; ale pierwsze, tak łatwo tłómaczyć niechęcią! Więc umiarkowanym być? Zapewne... ale i koniecznie sprawiedliwym. A znowu, czy to sprawiedliwość zaraz już z nieomylnością stawa do pary? Próżnoby się tu w piersi bić, — *mea culpa* mówić... *errare humanum est* w pokorze wypowiadać. Najmocniej nawet Cycerońska łacina rzeczy tu nie załatwi, uprzedzenia nie rozproszy, usposobienia złego nie rozbroi. Bo choćbyś nie wiedzieć z jak ogólnych zasad wyszedł, osobistego poglądu się nie ustrzeżesz, i oto zaraz broń na ciebie — najczęściej ostrzejsza od twojej; stosownie bowiem do słów Pisma: — czem kto wojował, od tego zginąć może. Prawda, że krytyka sąd wyrzekająca, powołuje się na jakieś powszechnie szanowane względy; ale i tu, czyż trudno spotkać takich, co się być uważają wyższemi nad prawo, chętnie stosując je do drugich? — czyż to raz bąk przelatywał tam, gdzie mucha uwięzła, i leciał dalej brzęcząc rozgłośnie, choć nader rzadko zasłużenie?

Tyle o cierniach; — przejdźmy do powabów.

Krytyka z pożytkiem jest dla jednostek które zaznacza, — dla ogółu którego pojęcia urabia, — słowem, bądź jak bądź, przyczynkiem bywa do dziejów postępu. Niechby i mniej wyczerpująca, niechby i ułomna w swych sądach; zawsześ popęd do czegoś daje, ścieranie się pojęć rozbudza — słowem powołuje do życia, w ruch wprawiając myślowe żywioły. Sprowadźmy teoryę na pole więcej szczegółowe, a rzecz się sama uwydatni. O sztuce pisząc, podobnaż ją oderwać od życia? A przecież stosunek ten, jak świat światem, polegał na zbadaniu potrzeb społeczeństwa, w związku ze środkami do ich zaspokojenia. Ponieważ o innych potrzebach, jak estetycznych, nie może tu być mowy, środki tedy będą miarą uzdolnienia jednostek; podobnie, jak potrzeby są wyrazem dojrzałości społeczeństwa. W tym względzie najczęściej równowaga bywa, a raczej, tak się rzeczy miewają, że silniejszy przewodzi. Więc: albo adepci smaku posłuszny ogół za sobą wiodą, albo zbiorowe jakieś upodobanie kieruje losami sztuki, aż dopóki z nową praw księgą nie zjawi się geniusz po jednej lub po drugiej stronie. Stosownie tedy do tych odmian przewagi mocniejszego, godzić jej roszczenia z zasadami czystej prawdy, zadaniem być ma znającego swoje obowiązki sprawozdawcy. Tym sposobem, krytyka już nie luźnym przebiegiem objawów artystycznego życia ale i umiejętnym ich rozbiorem być musi, i co za tem idzie, ewentualną naprawą wyobrażeń bieżących; bo te, jak to zresztą wiadomo, niezawsze dorastają wysokości praw odwiecznych, wyższych nawet nad geniusze. Podobnaż w tym względzie zarozumiałość jej zarzucić? Przecież za dni naszych uczucie piękna w życie już wrosło... niechże tedy nikt nie będzie winien zastałości lub zacofania, a cóż dopiero zboczeń na manowce, które nie są drogą postępu! Nie na to do wielkiej skarbnicy dziejowej grosz po groszu od wieków składano zyski doświadczenia, żeby od niej klucz w kieszeń schować, powiedziawszy sobie, że już wszystko zrobiono. Przeciwnie, — ciągle na dorobku bądźmy; inaczej, skrzywdzimy naszych następców.

Tak więc, jak się wyżej powiedziało, krytyka dzieł sztuki z pożytkiem ma być równie artystów jak publiczności. Z tego względu, obejmie ona równie to, co zblizka dotyczy pędzla czy dłuta, to jest sposobu użycia tych niezbędnych czynników uplastycznienia przedmiotu, z czego zarazem i o sile zdolności artysty wnosić można i o zapasie uzbieranej przezeń nauki; jak również, — a może przedewszystkiem — to, co jest owocem rozmysłu w malowidle lub rzeźbie, co je robi dramatem czy poematem; jednem słowem, co sztukę wynosi ponad powszednie sprawozdanie z nabytej w przyglądaniu się naturze zrę-

czności. Orzeczenie to, jakbądź ze ścisłemi warunkami piękna zgodne, niejednemu nazbyt wymagającem wydać się może; ogół bowiem, niekoniecznie głębokich szukający wrażeń, nawykł się u nas mało czem nasycać. Byle posąg lub obraz jak najbliższym był prawdy, byle przyjemnie łudził zmysły — publiczności to wystarcza; im dokładniej wrażenie jego oglądania do nagiej nastraja się rzeczywistości, — tem jest pożądańsze.

Miejsceby tu przypomnieć tyle sławny swojego czasu obraz, niby Tysiewicza a właściwie Möessa, który był tylko dość udatną kopią wcale miernego malowidła. O *Magdalenie* i mowy tam być nie mogło. Była to poprostu obnażona kobieta, ot sobie pierwsza lepsza, oparta na łokciach, z oczami wzniesionemi w górę. Towarzyszyło jej światło księżyca i światło lampy; a za to, światło duszy tylko nieobecnością swoją stawało tam do popisu. A przecież, tłumy entuzyastów nawiedzały cudowną Magdalenę, skutkiem czego jej obwoziciel uciułał grosza niemało (płaciło się po dwa złote od osoby).

Tymczasem, bezpłatnie pokazywany posąg *Perseusza*, dłuta Canowy, wpośród niezakłóconego niczem osamotnienia, miał wszelką możność porozmyślać nad tem, czemu go też tyle podziwiano we Włoszech, kędy przecież nie braknie i równie pięknych rzeczy i nierównie piękniejszych. Nawet nie tak dawno jeszcze, powszechny podziw obudzała na wystawie *kobieta uciekająca przed pożarem*. Pospieszamy odepchnąć myśl porównywania nawet obrazu tego z Magdaleną — nie o to wcale tu idzie — malowidło było całkiem oryginalne i jako studyum z natury nad podziw sumienne, nawet ile można piękne. Chcemy tylko zaznaczyć tu spostrzeżenie, że w czasie kiedy się ono pojawiło, ani przed Łokietkiem Gersona, ani przed Pochodem pod Tarnopol Brandta, a cóż dopiero przed Wnętrzami Gryglewskiego, nie widywano nigdy takiej schadzki tłumnej, jak przed tem płótnem, posiadającem tylko zalety dotykalnego realizmu.

Tymczasem duchowa część dzieła sztuki, względnie do zasług technicznej dokładności, o wiele naprzód postępować winna. Bystra wiedza, wsparta rozmysłem, — oto dopiero klucz do tajemniczego przybytku. Ale, jakkolwiek z tego dopiero mistycznego małżeństwa rodzą się przymioty zdolne dziełu nieśmiertelność zapewnić, to przecież trudno zaprzeczyć, że ogół, za gotową uciechą goniąc, niezbyt chętnie mozolnych wrażeń szuka; — ztąd zarzut pedanteryi, tak często spotykający tych, coby radzi nie sztukę zniżać do pojęcia mass, ale raczej w jej sprawie budzić *sursum corda*.

Z drugiej znów strony:. jak tu z podobnie oderwanych pojęć powszednią zdawać sprawę? Wrażenia udzielane przez sztuki plastyczne, podobnie jak te, które od muzyki pochodzą, kształty i mięszaniny barw zachwycające oko, równie jak dźwięki będące słuchu pieszczotą, słowem oba te w całości wzięte wpływy tajemnicze, z uroczą swoją symboliką, tysiącznemi odcieniami, melodyą tonów, kombinacyj harmonią —nie dają się ująć w słowa. Wiele tu można podjąć ciężkiej pracy dla dość miernej korzyści, i samemu się trudząc utrudzić Czytelnika. Nawet może i nie w porę zjawia się nastrój naukowy tam, gdzie o rzecz chodzi, we względzie której, większość miłośników świątecznej tylko domaga się rozrywki. Idzie zatem, że sprawozdawca z upodobaniem odrzuca od siebie te zniechęcające mu słuchaczy trudności, a ima się tego, co i jemu łatwiejsze i co się łacniej podoba. To tłómaczy zarazem, czem się dzieje, że niejedno studyum z dziedziny piękna, jakbądź wielce pocztyne, bynajmniej nie wystarcza artystom.

(Dok. nast.)

Z KRONIKI RODZINY ZIEMIAŃSKIEJ,

SPISAŁ

Kaz. Wł. Wójcicki. (c. d.).

XIV.

Nazajutrz rano Adam, wyszedłszy w ganek, znalazł już stojącą bryczkę przygotowaną dla niego do przejażdżki w sąsiedztwo—do Wólki Słomianej. Spiesznie siadł w nią i nie czekając śniadania ruszył z kopyta w stronę, gdzie go serce ciągnęło, a myśl ciągle ulatywała.

Kapitan przyjął go z otwartemi rękoma, pułkownikowa z przyjaznem obliczem, Ewunia tylko wyszła nieco zasępiona, a może ukrywała i żal do niego, że przez cały tydzień ani się pokazał. Ale wprędce dostał rozgrzeszenie, gdy opowiedział, jakie miał zajęcia gospodarskie.

Tu się Adam dowiedział że panna Jadwiga już jest po słowie z Edmundem Tarnowskim, że z rodzicami jadą do Ostendy, zkąd wprost wracają do Warszawy, ażeby odbyć uroczyste zaręczyny młodej pary. Matka pisała do Ewuni, żeby po odebraniu telegramu jechała zaraz do Warszawy i potrzebny porządek w mieszkaniu uczyniła, wziąwszy do pomocy pannę Kunegundę: w tym celu dołączyła oddzielny list z prośbą do pułkownikowej.

Kończył się właśnie sierpień, a z nim żniwa: na 20 września państwo Bonifacowie mieli z kąpiel powrócić; pułkownikowa cieszyła się wcześnie, że niedługo już pomnoży się ich sąsiedztwo, kiedy Ewunia osiędzie w Łomnicy.

W kilka dni później opustoszał skromny dworek, gdy jej wnuczka wraz z panną Kunegundą wyjechały do Warszawy. Na dzień oznaczony przybyła rodzina państwa Bonifacych z zagranicy i zaraz matka dzień pierwszego października przeznaczyła na uroczyste zaręczyny swej ukochanej Jadwisi. Powoli więc zbliżała się do celu swych gorących pragnień, do świetnego, jak sądziła, wydania za mąż starszej córki:—wszystkie przeszkody jakie się nasuwały potrafiła usunąć i energicznie zaczęła robić przygotowania do obchodu, który okazałością swoją miał wywołać podziw całej Warszawy.

Jakkolwiek krótko mieszkała w mieście, ale wprędce przy pomocy pani senatorowej poznała wymogi wielkiego świata i do nich zastosowała swoje postępowanie.

Od powrotu z Ostendy kareta najęta co rano oczekiwała na zawołanie: coraz większy ruch był w mieszkaniu, w miarę jak zbliżał się dzień zaręczyn. Pan Edmund Tarnowski codziennym bywał tu gościem, a Ewunia z radością znalazła siostrę wielce ożywioną i rozkochaną w swoim narzeczonym. Wacław, który do niepoznania zmieniony wrócił z Galicyi, ciągłym był towarzyszem swego przyszłego szwagra, u niego nawet zamieszkał.

Smutek ojca nie uszedł uwagi Ewuni, ale najbardziej przestraszało ją to, że pieszczoty jej przyjmował obojętnie, i uporczywie milczał. Żadna skarga z ust jego nie wyszła, lubo nieraz wpadał w głęboką zadumę i ciężko wzdychał.

Na wiadomość o strasznej pogorzeli w Olszewnicy, łzy mu w oczach zabłysły, i bolał nad tą klęską jakby jego samego dotknęła. Raz tylko nie widząc w pokoju młod-

szej córki, z goryczą w głos przemówił, jakby komuś odpowiadał:

— Za grzech ciężki trzeba pokutować: Bóg odwrócił od nas swoje święte oblicze, bośmy o nim zapomnieli!

Ewunia drżała z nadziei, a zarazem z obawy, czy czego więcej nie usłyszy, ale pan Bonifacy, wypaliwszy spokojnie fajkę, zaczął drzemać: wtedy cicho wysunęła się z pokoju. Miała więc dowód wymowny, że wielka boleść i troska gnębią ukochanego jej ojca, ale jak jej zaradzić, nie widziała sposobu. Gdyby mogła to wyjawić pułkownikowej i Bazylemu, pewnieby na to znaleźli skuteczne lekarstwo; ale oddalona od nich, nie miała do kogo uciec się o pomoc, a przytem po całych dniach zajęta była z panną Kunegundą przygotowaniami do wspaniałych zaręczyn siostry.

Matka sama napisała listy zapraszające do pułkownikowej i do Bazylich, ale otrzymała od babki Jadwisi list serdeczny z błogosławieństwem, lecz zarazem i z wymówką, że dla słabości wyjechać nie może: Bazyli wytłumaczył się również chorobą żony.

Pan Bonifacy westchnął tylko gdy odczytał te listy: Ewunia boleśnie niemi dotkniętą została: matka zupełnem milczeniem pokryła swoje wrażenia.

Dzień tak upragniony przez panią Teofilę i jej starszą córkę nadszedł wreszcie: liczne grono zaproszonych gości zasiadło przy suto zastawionych stołach. Jeżeli jednak oblicze matki jaśniało niezwykłą radością, to ojciec i Ewunia oboje mieli czoła zasępione.

Wśród wspaniałej uczty, nad miastem zahuczała burza z grzmotami. Wiatr przeraźliwie poświstywał, co nie mogło obudzać wesołości. Uroczysty wszelako obrzęd odbył się pomyślnie: ksiądz kanonik zamienił pierścionki i dzień ślubu oznaczonym został za cztery tygodnie, na mocy zapewnionego z góry indultu.

Burza szczęśliwie bez przeszkody przepłynęła: pod wieczór wypogodziło się i księżyc w całej pełni zajaśniał na bezchmurnem niebie. Pani senatorowa pierwsza winszowała państwu Bonifacym tak dobranej pary, rokując w przyszłości niezawodne szczęście. Gdy goście bawili się ochoczo w salonie, pan Bonifacy poszedłszy na chwilowy spoczynek do swego pokoju, znalazł tam Ewunię, która go niby niechcący spotkała i podała mu ulubioną fajkę.

— Szkoda, rzekł ojciec, że niema naszego Adasia.

— Nie śmiał przyjechać, odrzekła córka, bo nie był proszony.

— Ja się do tego nie mięszałem moje dziecko, matka to wszystko wzięła na siebie, i ot! widzisz, o najbliższym naszego serca gościu zapomniano! O! dodał z głębokiem westchnieniem, oby się to wszystko jak najprędzej a dobrze skończyło, bo ja już głowę straciłem!

Ewunia na te słowa nic nie odrzekła, ale wybiegając z pokoju przymknęła drzwi, żeby chociaż chwilkę odpoczął swobodnie.

* * *

Puste już były pola, bo żniwa skończone, zarówno jak i siewy oziminy. Kapitan, uradowany dobrym urodzajem i bujnym plonem zboża, równie jak i obfitym sprzętem siana, potrawów i koniczyny, z pogodnem a wesołem obliczem zasiadł w swoim ganeczku i dumał paląc ulubioną fajeczkę, kiedy usłyszał że ktoś idzie od ogrodu. Spojrzał i zobaczył siwego gajowego, co od wielu lat służył u pana Bonifacego, a teraz w obowiązkach zostawał u nowego dziedzica. Był to myśliwiec zawołany i pilny stróż kilkunastu włók lasu, które właśnie Schüller wycinał.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! przemówił przybyły kłaniając się nizko.

— Na wieki wieków, Amen! odrzekł kapitan, a cóż to ciebie, poczciwy Gawle, do nas sprowadza?

— A cóż wielmożny panie, bieda i bieda! niemiec tnie a tnie bory, ale wolnoć mu niszczyć, bo je kupił! Ale to nic byłoby, ale tę wielką sosnę, co w niej obraz najświętszej Panienki obrósł korą, przed którym przez cały maj paliwa lampkę, chce ściąć na sążnie opałowe. A toć się to nie godzi, wielmożny Panie! Wszakeć to tu stacya naszych flisaków i orylów, gdy wracają z Gdańska, tu spoczywają, tu się modlą, żegnają i z braterskim uściskiem każdy w swoją stronę idzie. Chodziłem do dworu z prośbą, boć i mnie tam niedługo popasać, bo do samych pniaków nie będą potrzebowali gajowego: ale miemca niema doma, gdzieś za granicą, a Rudy Szmul co tam w jego miejscu siedzi, odpowiedział: kiedy chcecie aby pozostała sosna z obrazkiem, to kupcie i zapłaćcie 25 rubli, bo inaczej, to za kilka dni ściąć ją każę. I odprawił mnie z kwitkiem. Zapłakałem jak bóbr rzewnemi łzami, poszedłem pod sosnę i modliłem się gorąco do najświętszej Panny, naszej borowej patronki! Kiedym wstał, jakby mi coś szepnęło: idź do Wólki Słomianej, opowiedz wszystko wiernie, tam znajdziesz radę i pomoc w swojem strapieniu. I ot przyszedłem...

Kapitan, w miarę opowiadania dawnego towarzysza łowieckich wypraw, pokręcał wąsy, pocierał czupryne i przytłumionym głosem powtarzał:..

— *Sapristi*! kroć milionów fur beczek, rejmentów, batalionów djabłów!..

A drżał cały od gniewu, który tłumił w sobie, gdy w tęż chwilę pułkownikowa, która przy otwartem oknie siedząc słyszała rzewną skargę gajowego, weszła na ganek, a podając 25 rubli staremu:

— Idź zaraz mój Gawle, do Szmula—rzekła spokojnie, zapłać mu i powiedz, że ja go proszę ażeby sosnę i tych kilka młodych dębów i drzewek co przy niej stoją zostawił, aby cień i chłód mieli flisacy nasi.

Gajowy, ucałowawszy ręce sędziwej matrony, skłoniwszy się do kolan kapitanowi, rzeźwym krokiem ruszył prosto do dworu w Olszewnicy.

— *Sapristi!* zawołał pan Paweł, do czego to przyszliśmy, że musimy żyda prosić o zachowanie naszych świętości! Podziękować za to panu bratu!

— Ależ on biedny już pokutuje za to! odrzekła matka słodkim głosem.

— Prawda, prawda! odrzekł syn, a głos mu drżał i dwie łzy spadły na wąsy. Mateczka daruje mi żem parsknął tak ostro.

Pułkownikowa usiadła obok niego.

— Nie powiedziałam ci mój Pawle, mówiła, że miałam sen niespokojny i boję się złych wiadomości z Warszawy.

— Sen mara—Pan wiara! odrzekł kapitan.

— Święta prawda moje dziecię, ale zawsze mnie sny takie sprawdzają się prędzej czy później. Już czwarty tydzień jak nasza poczciwa Kunegunda wyjechała; prosiłam, ażeby mi napisała gdy co ważniejszego zajdzie, i dotąd słówka jednego od niej nie mam.

— O wilku mowa, a wilk tuż! zawołał wesoło kapitan, dojrzał bowiem jak właśnie w lekkim powoziku wjeżdżała panna Kunegunda na podwórze. *(c. d. n.)*

ISKIERKI Z PARYŻA. (c. d.)

Jedną z najbardziej zajmujących konferencyj, była Pawła Févala w teatrze Renaissance, którą musiał dwa razy na żądanie publiczności powtórzyć. Treścią je było: O teatrze dla wszystkich. Jest to bowiem smutną

prawdą, że poza obrębem kilku pierwszorzędnych teatrów, gdzie wybór sztuk jest staranniejszy, w innych teatrach francuzkich, których w Paryżu jest czterdzieści kilka, autorowie pozwalają sobie rozmaitych nadużyć. Operetki, komedyjki, pantomina, wszystko błahe i niesmaczne. Teatra te, zwykle tanie, uczęszczane bywają przez ludzi chcących odpocząć po ciężkiej pracy, którzy zamiast spotkać tam jaki dobry utwór, widzą tylko poniewieranie wszystkiego co się przyzwoitością i dobrem wychowaniem nazywa. Przeciw temu powstał Féval, zachęcając autorów, aby więcej szanowali ogólną przyzwoitość w swoich utworach, i znalazł uznanie; przeciw temu samemu nadużyciu powstaje w ładnej książce, pod tytułem *le livre d'une mère*, pani Paulina L., ganiąc zarówno niemoralność w teatrze jak i w powieściach, — bo życie domowe Francuzów, oprócz rzadkich wyjątków, jest uczciwe i pracowite, nie czcze i puste, jak je przedstawiają pisarze romansów. Francuzi zarzucają sami sobie wiele wad (co już jest chęcią poprawienia się), a przedewszystkiem brak energii i wytrwałości, o czem ostro mówi pan Bigot w dziele *Les classes dirigeantes*. Między innemi tak się wyraża: «Główną rzeczą dla każdego narodu, jest przechowanie cnót i sił ducha. Baranek mający ciepłą wełnę na grzbiecie i mięso dobre do jedzenia, a sam nie mający ani pazurów ani zębów, będzie pożarty przez wilków, jeśli sami pasterze go nie zjedzą. W dziewiętnastym wieku potrzeba być ani wilkiem ani baranem.

«W świecie handlowym widzimy często ludzi miłych w obejściu, delikatnych, uprzejmych, którzy pomimo to, dążą prostą drogą do bankructwa, rujnując siebie, swoje żony, swoje dzieci, i okrywając hańbą swoje nazwisko; a to dla tego, że nie umieli rano wstać, ani się późno położyć, ani ściśle obliczyć rozchodów, — ani tanio kupić aby lepiej sprzedać. Ich współzawodnicy robili to wszystko i zbogacili się na tem właśnie, co było przyczyną upadku tamtych.

«Energia, czynność, pracowitość, cierpliwość, są to najpierwsze i najszlachetniejsze cnoty. Rola ludzkości, wedle Księgi Rodzajów (Genesis), jest: «orać ziemię»— a orząc ją, użyzniać, rozsiewać na niej życie i porządek, czyli wiedzę.

«To zadanie poczęte od lat tysięcy. Każdy wiek widzi że puste miejsca się zaludniają, każdy wiek widzi jak jakaś ślepa siła żywiołów poddać się musiała pod wolę ludzką — a nowa jakaś tajemnica natury wyrwaną jej przez naukę została.

«Kto robi te cuda? Czy układność, elegancya, bezmyślna słodycz? Nie;—tylko energia i wytrwałość— nie ma postępu bez pracy w pocie czoła.

«Formy energii i wytrwałości mogą się zmodyfikować wedle natury rzeczy — ale energia i wytrwałość nigdy się nie zmieniają. Dziś, jak na początku świata, są to najważniejsze cnoty. Przez nie tylko plemiona działają w porządku moralnym, umysłowym, politycznym, artystycznym. A działać, jest to żyć».

Jedną z wielkich niespodzianek była dawana dwa razy w czasie świąt Bożego Narodzenia, na poranku w teatrze Porte Saint Martin, ślicznie napisana sztuka *Jean III Sobieski ou la défense de Vienne*. Grana była wybornie; autor tylko w ostatnim akcie zanadto uwydatnił postać Selim Gireja, ze szkodą głównych osób tej sztuki.

W Odeonie teraz podoba się bardzo sztuka «Les Danischeff». Włoch Rossi zbiera ogromne oklaski w sali Ventadour, za swoje występy w rolach bohaterów Szekspira.

Panna Reszke w Operze coraz większe zyskuje powodzenie. Najpiękniejszą ze wszystkich oper jest don Juan Mozarta, gdzie znakomicie śpiewa panna Krauss i Faure, a dekoracye i cała wystawa tego dzieła przeszła wszelkie oczekiwanie.

Niektóre pisma krzywią się na tyle cudzoziemczyzny w Paryżu. Jedno z nich tak się wyraża: «Zdaje się, że robimy co można aby zaprzeczyć opinii o naszym niegdyś wielkim szowinizmie. Szczególniej co się tyczy teatrów nie można być więcej antynarodowym jak my, i tak np:

«W Odeonie (nie zapominajcie że to jest drugi teatr francuzki) dają dramat prosto z Petersburga nadesłany.

«W Operze, także *teatrze narodowym*, śpiewaczka wiedeńska Krauss i Polka Reszke, co wieczór zbierają oklaski.

«Główna rola w sztuce *Dada*, przygotowującej się w Variétés, będzie wykonaną przez Angielkę.

«Sala Ventadour cała hołduje panu Rossi i włoszczyznie.

«W Cyrku amerykańskim, gdzie są uczone słonie, najwięcej zbiera się Paryżanów.

«Czyż to nie dosyć kosmopolityzmu?».

Piszący tę jeremiadę w Petite Presse korespondent, nie powiedział jeszcze, że w Cyrku zimowym, gdzie się odbywają prześliczne popularne koncerta pod dyrekcyą p. Pasdeloup, co wieczór bracia Konrad, Anglicy, wykonywają akrobatyczne sztuki — a człowiek-bomba wylatuje horyzontalnie z zawieszonej pod sklepieniem armaty; inny zaś, w Cyrku amerykańskim — człowiek-proca — pozwala siebie wystrzelać z działa pionowo w górę.

Wyznać potrzeba, że z całego świata zbiegają się ludzie by bawić Paryżan, — co im może i trochę dokucza.

Na zakończenie powiem kilka słów o poezyi prowansalskiej, której odrodzenie jest skutkiem zamiłowania ogniska rodzinnego.

Syn ogrodnika z San-Remy, będący w szkołach, przyjechał do rodziców na wakacye, a że matkę kochał nad życie, chciał więc jej uprzyjemnić wieczorne chwile i czytywać książki. Ale matka jego po francuzku nie rozumiała. Bo cała wiejska ludność południowej Francyi między Rodanem, Alpami, Duransą i morzem mówi językiem prowansalskim, który choć jest jednego pochodzenia z teraźniejszym francuzkim, tak się jednak od niego różni, że niełatwo zrozumieć go można. Ów piękny i znany niegdyś powszechnie język (langue d'oc), za czasów Petrarki jeszcze pełen sławy, w którym składano eleganckie sirwenty i kanzony, z biegiem czasu dał się w formach i piękności wyprzedzić północnemu narzeczu, które wydoskonalone, stało się ogólnym francuzkim i europejskim językiem; literatura prowansalska zgasła, a to co się jeszcze w tym języku drukowało, było wszystko prostackie i stanowiło tylko literaturę gminną najgorszego rodzaju. Prowansale jednak, choć ukształceni i oświeceni w szkołach i języku francuzkim, nie tracili nigdy miłości do mowy której używali w dzieciństwie, i niejeden Prowansal mieszkający w Paryżu, tak się cieszy usłyszawszy mowę prowansalską, jak Ukrainiec zamieszkały w Warszawie kiedy usłyszy ukraińskie pieśni. Józef Roumanille, nieznający książek prowansalskich, spróbował z nich czytywać swojej matce, ale wkrótce musiał zaniechać tego ze względu na treść błahą i niesmaczną; zaczął więc jej tłómaczyć dobre francuzkie książki na język jej zrozumiały. Uczuł jednak niby wstyd wewnętrzny za upadek tak pięknego niegdyś języka, — i postanowił oddać się całkowicie wyszlachetnieniu jego, aby mieszkańcy chat prowansalskich mogli z przyjemnością odpocząć przy dobrej prowansalskiej książce. Zaczął od zbierania pieśni krążących w ustach

ludu, i najpiękniejsze wydał pod tytułem: *Li Margeride-to* (Stokrocie). Przyjęto ten zbiorek z zapałem, cała Francya przyklasnęła temu wydaniu. Wkoło pana Roumanille zebrał się rój pieśniarzy prowansalskich, przejętych zapałem do stron i zwyczajów rodzinnych; każdy przynosił swój udział i ztąd powstał *Zbiór pieśni prowansalskich — Li provençalo*. Do najzdolniejszych liczyli się: Fryderyk Mistral, którego nazwisko jest takie samo, jak wichru wiejącego w południowej Francyi, zwanego mistralem, a który często wszystko pali i niszczy gorącym swoim powiewem. W szkołach zaprzyjaźnił się z Józefem Roumanillem, i jako syn wieśniaka i sam wieśniak także, kochał mowę prowansalską i postanowił już nietylko zbierać piosnki, ale tworzyć nowe rzeczy w tym języku. Jego poematy *Mireille* i *Calendal* były już nacechowane męzką siłą, której przedtem brakło językowi prowansalskiemu. Teodor Aubannel napisał *Rzeź niewiniątek — Grenada zdobyta* — i kilka innych rzeczy. Wszystko to zwróciło uwagę nietylko Francyi ale i obcych krajów na tak ożywiony a niespodziany ruch w literaturze prowansalskiej. Przypadek zrządził, że w owym czasie schronili się do Awinionu Hiszpanie uciekający z kraju, z powodu wojny domowej. Jeden z nich, Katalończyk, Wiktor Balagier, chciał to samo zrobić dla Katalonii, co Roumanille, Mistral, Aubannel zrobili dla Prowancyi. Łatwo więc między niemi zawiązała się przyjaźń, tem bardziej że Katalonia i Prowancya były niegdyś niby siostrami. Za powrotem do kraju, Wiktor Balagier przysłał puhar pamiątkowy od wszystkich mieszkańców Katalonii, w dowód wdzięczności dla wszystkich *felibrów*, czyli śpiewaków prowansalskich, za gościnność ich rodakom okazaną w 1867 roku. Do tego puhara Fryderyk Mistral napisał wiersz piękny, który się znajduje w niedawno wydanych jego poezyach w Awinionie, p. t. *Lis iselo d'or* (Złote wyspy). Wyspy koło Marsylii i Tulonu i gruppa wysp Leryjskich, zwą się wyspami złotemi, bo je słońce tak oświeca, że niby jak złote zdaleka wyglądają; — zblizka zaś, są zanadto właśnie przez to słońce spalone.

W 1868 r. Katalończycy zaprosili poetów prowansalskich do Barcelony na zabawy kwiatowe. Prowansalczycy nawzajem zaprosili do siebie Katalończyków. San-Rémy było naznaczone na punkt zjazdu. Była to uroczystość ogólna; — zabrzmiały wszędzie sirwenty i kanzony. Dzwony, oboje, tamburyny wtórzyły pieśniom; nastąpiły potem konkursa literackie i zjazdy pieśniarzy. Lecz ten nagły ruch literacki, olśniony powodzeniem, miał chwilę szaleństwa; zaczęto się odzywać o politycznem oderwaniu Prowancyi od Francyi. Pierwsze podobne słowa wymówił Aubannel. Ale nieszczęścia 1870 r. opamiętały wszystkich. Fryderyk Mistral zwrócił oczy *felibrów* do pierwotnego punktu wyjścia, do pierwotnej zasady. «Myśmy synowie kmiecy, powiada, piszemy dla naszych braci krajowym językiem. Starsi powinni pomagać młodszym. Jeżeliśmy uczeńsi, niechże z naszej nauki nasz język skorzysta, i ci co nim czytają. Poezya jakąśmy stworzyli nie ma innej przyczyny bytu».

Poetyczne utwory Mistrala są bardzo ładne. Za przykład służyć mogą znane z francuzkiego tłómaczenia poematy.

Jeden z nich, *Śmierć Żniwiarza*, napisany w 1853 r. opiewa smutne zdarzenie z pory letniej na złocistych wyspach. «Żniwiarze są w polu; upał czerwcowy zieje ogniem na łany; — ziemia rozpalona, ognisty wicher gnie zboże... ani dnia, ani godziny do stracenia. Gorliwy lecz bezsilny starzec na czele żeńców zagrzewa do pracy. Nagle, promień słońca południowego pada mu na czoło. Starzec chwieje się, upada. Zbiegają się żeńcy i żniwiarki, — płacz i lament wielki, ale umierający ich pociesza i poleca się świętemu Janowi, patronowi żniwiarzy. «O mój święty Janie, woła, nieopuszczaj mnie. Pamiętaj o moim ogródku oliwnym, strzeż mojej córki, pociesz żonę, wychowaj mojego syna. Jeżelim kiedy narzekał, przebacz mi... i kosa jęknie gdy o kamień uderzy. O mój św. Janie, przyjacielu boski, patronie żniwiarzy, ojcze ubogich, ze swojego tronu wspomnij na mnie!»

Zbladł jak chusta, oczy jego niby w słońce patrzą... a już nie żyje stary żniwiarz! Milczący i smutni, z kosami w ręku, żniwiarze żną co prędzej zboże, bo ognisty wicher osypuje kłosy...»

Dobosz z pod Arcole, jest to podanie głośne w całej południowej Francyi. «Chłopak prowansalski bijąc w bęben szarżę do ataku na most w Arcole, dodał ducha zmęczonym żołnierzom i zwycięztwo przechylił na stronę Francuzów. Po wygranej, Bonaparte dał bohaterskiemu chłopcu honorowe pałeczki do bębna, z kości słoniowej i złota. Imie jego było we wszystkich ustach, ale później... zapomniano o nim. Inni doszli do znaczenia; dobosz, niegdyś sławny, teraz nieznany, zestarzały, bliznami okryty, sam jeden idzie przez ulice Paryża i z goryczą swoje dziecinne lata wspomina. Na co mu się zdała owa niegdyś sława! Czy nie lepiejby mu było w swojem rodzinnem gnieździe cicho życie spędzić? W tych myślach pogrążony zbliża się do Panteonu, na którym jaśnieje płaskorzeźba roboty Dawida. «Doboszu, woła ktoś z boku przechodząc koło niego, spojrzyjno, kto to stoi tam wysoko na Panteonie?» Stary dobosz patrzy w górę i poznaje siebie... młodego dobosza z przewieszonym u szyi bębnem, bijącego szarżę przy boku swojego generała. Wtedy, gdy ujrzał się tak wyniesionym w całej chwale ponad lata, ponad wieki, ponad burze, ponad obłoki, w wiecznej chwale między słońcem a błękitem niebios, serce mu gwałtownie dumą uderzyło i padł na bruk nieżywy».

W psalmie pokutnym, Mistral opiewa ostatnie nieszczęścia Francyi, korząc się przed Bogiem, że spuścił na nią te próby jako karę za domowe niezgody, za zaparcie się cnót i poczciwych tradycyj i odstąpienie od starych obyczajów.

(D. n.)

SZKICE
Z DZIEJÓW I ESTETYKI OGRODNICTWA. (c. d.)

»W ciągu siedmnastego stulecia, powiada Walpole, prastare nasze ogrody w Londynie i Wise przyozdobiły się w olbrzymie postacie ludzi, zwierząt i potworów, w zbroje i godła, wytwarzane z cisów, bukszpanów i ostokrzewów.» Pope wyszydzał dowcipnie ten rodzaj przestarzały: «W ogrodach tych, powiada on, widzimy, pomimo braku wody, Arkę Noego wyciosaną z ostokrzewu, której boki są w dość lichym stanie, —św. Jerzego z bukszpanu, o rękach za krótkich,— królowę Elżbietę z lipy, o nieco wybladłem licu, lecz za to wielce wysmukłą, i t. p.»

Karol II, wychowany we Francyi, powołał Le Nôtre'a do nakreślenia planu ogrodu w Greenwich, i wielkiego kanału w Saint-James. Zaraz też potem wszystkie parki angielskie przyjęły styl klasyczny, który zachowywały co najmniej do 1730 roku. Anglia wszakże zbyt prędko zapomniała że Le Nôtre pierwszy zapoznał ją

ze sztuką ogrodniczą i oswobodził drzewa z form zwierzęcych i ludzkich. Blenheim, podarowany przez naród Marlborough'owi, i Chatsworth w hrabstwie Derby, skrapiany malowniczym strumieniem Derwentu, były zrazu francuzkiemi klasycznemi parkami.

Moor-Park, poprzednik istniejącego w Chatsworth, opisanym został przez W. Temple'a.

Tu, przed domem położonym na wzgórzu nieco urwistem, rozpościerał się szeroki taras wysypany piaskiem, na trzysta kroków długi i otoczony wawrzynami rozsadzonemi w wielkich odstępach. Ze środka i z obu boków tego placu, troje wschodów kamiennych wiodło do niżej położonego obszernego parteru, którego przedziały odgraniczone od siebie alejami piaskiem wysypanemi, przyozdobione były w wodotryski i posągi. Przy każdym krańcu tarasu mieścił się pawilon. Wzdłuż parterów dwa wielkie portyki otwierały wejście do ogrodu — ich arkady i galerye łączące się z pawilonami, przypominały przeszłość klasyczną ogrodów Leucippa, Clitophona i Pliniusza młodszego. Portyki te uwieńczone były rusztowaniami, na których krzewiły się przeróżne rośliny otoczone balustradami. Wpośród parteru schody o wielu stopniach z dwóch stron wiodły do groty mieszczącej się między dwoma wzgórzami. Grotę zdobiły figury z kamieni i muszli, źródła i wodotryski; — z drugiej strony domu mieściło się dzikie ogrodzenie z drzew zieleniejących, wodotryski i ozdoby wyrabiane z kamieni i muszli.

Pobieżny przegląd ogrodów arabskich już nas w poprzednich rozdziałach wprowadził do Hiszpanii. Widzieliśmy tam dzieła maurytańskie nacechowane prostotą i powabem — takiemi też były i miejsca przechadzek publicznych, zaopatrzone w wodotryski, w bruki z cegieł i kosztownych mozaik marmurowych. Fizyognomia *Alamedów* jest całkiem arabska: woda, kwiaty, drzewa i kilka ławek, owóż i wszystko co tworzy styl wschodni, jakim zachwycamy się w Toledo w *Huertach del rey* i na obu pobrzeżach Tagu. W Vittoryi i Gibraltarze *Alamedy* są rajem dla Anglików. Barcelona posiada labirynt i wieżę w pośrodku swych szańców. Bilbao, prześliczny wodotrysk w stylu odrodzenia (1560 r.). W Walencyi najrozkoszniejszem miejscem przechadzki są pobrzeża Guadalawiaru, ciągnące się wpośród wiązów, cyprysów, platanów, oleandrów, drzew cytrynowych, pomarańczowych i granatowych, z któremi łączą się rozmaite krzewy przeniesione z Ameryki południowej, równie okazałe jak w swej ziemi rodzinnej. W Kadyksie, chcąc dojść do placu Byków, potrzeba przejść ogród zapełniony olbrzymiemi palmami i gatunkami drzew najrozmaitszych. Niema drzewa szlachetniejszego i majestatyczniejszego od palmy — olbrzymia korona jej liści na końcu trzona żłobkowanego rysuje się przepysznie na lazurowym horyzoncie południowego nieba. Sewilla przecież wraz z Grenadą przewyższają wszystkie swe współzawodnice, a Grenada góruje jeszcze nad Sewillą, pomimo że ta posiada ogrody Alkazaru, istny las drzew pomarańczowych poprzerzynanych trawnikami, i śliczną Alamedę, zasadzoną jeszcze za Filipa II najrozmaitszemi gatunkami roślin.

Prababką Grenady jest Arabia. Wesoła Alameda Grenady jest wymownym tego dowodem. Wyobraźmy sobie długą aleję o kilku rzędach drzew, z której zielenią nie może się równać żadna miejscowość w Hiszpanii, zakończoną na każdym krańcu wodotryskiem, przedstawiającym bożków wodnych o karykaturalnych kształtach. Te wodotryski, wbrew zwykłym tego rodzaju budowlom, rozlewają wodę w szerokich kaskadach, które parują w postaci deszczu pyłkowego i mgły odświeżającej roślinność. W alejach bocznych przelewają się strumienie krystalicznej czystości w łożyskach z kamieni kolorowych. Wielki parter ozdobiony wodotryskami, zapełniony krzewami i kwiatami, mirtami, różami, jaśminami i całem bogactwem flory grenadyjskiej, obejmuje przestrzeń zawartą między pałacem a potokiem Genil'u i rozpościera się aż do mostu wzniesionego przez generała Sebastiani'ego podczas zajęcia Hiszpanii przez Francuzów.

Ogrody królewskie Hiszpanii, pomimo wprowadzonych w nie nowych ozdób niezupełnie zgodnych z całością, przechowały formę klasyczną. Zasady stylu odrodzenia zgadzały się z tradycyami maurytańskiemi. Eskurial był rezydencyą Filipa II, którego do dziś dnia przypomina. Wielkie tarasy i partery z bukszpanów poobcinanych, wyobrażających rysunki podobne do kwiatów zdobiących dawne adamaszki; kilka sadzawek i wodotrysków odarnionych zielenią, oto główne ornamentacye ogrodu eskuryalskiego. Więcej w nim architektury niż roślin: uroczysty, nudny, wymuszony ten ogród, odpowiada najzupełniej pałacowi sąsiedniemu.

W zamian, trudno sobie wyobrazić coś bardziej uroczego nad Aranjuez. Ogrody jego noszą piętno rozmaitych rządów, począwszy od Karola V aż do Izabelli II. Wpośród tych rozkosznych siedzib odznacza się szczególniej ogród niewielki położony od wschodu, przystrojony w posągi, wpośród których wznosi się statua Filipa V otoczona posągami imperatorów rzymskich. Dalej winniśmy wymienić parter podzielony na kwatery kwiatowe i krzewowe, ozdobione czterema sadzawkami okalającemi wodotrysk Herkulesa. Od północy tego parteru, Tag w całej swej szerokości spada w kaskadzie, i znika w dali podzielony na dwie odnogi okalające powabną wyspę, zapełnioną ogrodami i gajami, wpośród których widnieje mnóstwo posągów, sadzawek i wodotrysków. Cały zresztą ogród, pomimo reform jakim ulegał przez wieki, zachował ślady pierwszych swych panów. Jest posępny jak myśli Filipa II, tajemniczy i zarazem błyskotliwy jak charakter Filipa IV.

Od wschodniej strony pałacu, pomiędzy długą aleją czarnych wiązów a korytem Tagu, na przestrzeni jednej mili francuzkiej, rozsiane są rozkoszne miejscowości: *Sotillo Primavera* i ogród *del Principe*, założony za panowania Karola IV.

Nierównie bliżej pałacu zbudowany jest *dom rolnika* (Casa del Labrador) mała siedziba, z pozoru skromna, urozmaicona posągami mieszczącemi się w niszach, dochodzących wysokości balkonów wyższego piętra, we wnętrzu którego kryją się wszelkiego rodzaju niespodzianki, tchnące królewskim przepychem. Napotykamy tu piękne wschody marmurowe, przystrojone w złocone bronzy — posadzki wykładane mozajkami i jaspisem, dalej cały szereg salonów współzawodniczących z sobą o lepsze w wytworności, sufity ozdobione we freski i ściany pokryte malowidłami lub osłonięte jedwabnemi tkaninami. W końcu znajdujemy galeryę włoską mieszczącą mnóstwo popiersi mistrzów dłuta i bogatych osobliwości. Aranjuez obok tego posiada górę szwajcarską, labirynt, pawilon chiński, świątynię grecką i inne cacka właściwe ogrodom angielskim, rozłożone przed gęstym lasem zagłębiającym się w dali ku zachodowi i północy.

Dobra królewskie zajmują około Aranjuez przestrzeń mającą sto dziesięć kilometrów obwodu. Od Karola V każdy król powiększał i ozdabiał tu budowle, i wprowadzał uprawę roślin najrozmaitszych. Wspaniale też przedstawiają się tutaj drzewa oliwne, lasy morwowe słynne na całą Hiszpanię, winnice pochodzące z rodzimych krzewów, i łąki skrapiane odnogami Tagu.

Rozległy park św. Ildefonsa, zwany także *la Grania*, posiada wodotryski nieustępujące istniejącym w Chantilly i Wersalu, a cisy i mirty sztucznie poobcinane i po-

sągi tego parku są tylko naśladownictwem ornamentyki ogrodowej, przejawiającej się w powyższych rezydencyach francuzkich.

W głębi prześlicznego parteru, naprost pałacu, Amfitryta, władczyni morza, otoczona łabędziami, delfinami i zefirami sprowadza do wielkiej sadzawki kaskadę *Nueva*, której wody po dziesięciu stopniach wyłożonych różnokolorowym marmurem, wpadają do sadzawki dolnej, gdzie kąpią się trzy gracye podtrzymywane przez trytonów. Szerokie *morze* zasilane przez potoki górskie, z wysokości parku wlewa swe fale szumiące do dwudziestu sześciu wodotrysków, sadzawek i wodospadów — skrapia partery i gaje. Mnóstwo tu małych kaskad zwanych *Carrera de Caballos*, jakoto: Apolla, który zabija Pythona, wylewającego potężny strumień wody —smoka Andromedy, z którego wytrysk dosięga 104 stóp pols. wysokości, — amfiteatru Vertumna i Pomony — *Canastillo* tryskającego czterdziestu strugami pośród drzew owocowych i kwiatów, oraz *Sławy* wyrzucającej snop wody do wykokości 121 stóp polskich. Łaźnie Dyany były tu widocznem naśladownictwem słynnych łaźni Apollina. Wodotrysk przedstawiający walkę nimf ze zwierzętami, kosztował trzy miliony franków.

Posępny Filip V, gdy poraz pierwszy puszczono wodę z tego wodotrysku, przypatrywał się mu przez kilka chwil nieco rozweselony, a potem, wracając do swych poważnych rozmyślań, wyrzekł: «Zabawiłeś mnie przez trzy minuty, ale kosztowałeś trzy miliony.»

Przepyszną jest roślinność *passej'ów* Lizbony. Heliotropy, niby bluszcz porozpinane, pokrywają mury — pelargonie dochodzą dziesięciu stóp wysokości, jaśminy niemniej są okazałe, a drzewa pomarańczowe tworzą ponętne ogrody. Park zamku Penha, w okolicach miasta Cintra, zajmuje przestrzeń kilku mil francuzkich. Kamelie, mirty, banany, pelargonie, tworzą tu tak gęste aleje, że przez nie zaledwie przedzierać się może światło dzienne. Wody przepływają u stóp żywopłotów z hortensyj błękitnych. Ogrody obejmują dwie góry, z wierzchołka których daje się widzieć morze.

Ogrody klasyczne na Wschodzie.

Czy Persya miała swego Le Nôtre'a? Nie możemy wiedzieć — wszakże jej królewskie ogrody, których opis podał nam Chardin, przypominają żywo zarysy Wielkiego Trianon'u. Sztuka Le Nôtre'a wiąże się bezpośrednio z układem willi z epoki odrodzenia, a te znowu z ustrojem wiejskich siedzib starożytnego Rzymu. Podobne węzły znachodzimy w ogrodnictwie Persów, którzy pozostali wierni tradycyom swych praojców. W tej mierze dość im było odrodzić raje satrapów i zastosować je do życia nieczynnego, zatopionego w rozkoszach, na jakie ich skazał fanatyzm muzułmański i znikczemnienie rasy. Ogrody perskie składają się zwykle z wielkiej alei wyciągniętej w jedną linię i wysadzanej platanami — z sadzawki zajmującej środek ogrodu i z dwóch mniejszych bocznych, których wielkość zastosowaną jest do jego obszaru. Wreszcie, kwatery kwiatowe, drzewa owocowe i krzaki różane, zapełniają przestrzeń między sadzawkami. Oto cała ornamentyka ogrodów perskich. Partery, labirynty, tarasy i inne ozdoby ogrodów europejskich są tam nieznane. Ogrody nie służą Persom bynajmniej do przechadzki, jak u nas, lecz do oddychania świeżem powietrzem i sycenia oczu obrazami perspektywy. W tym celu zasiadają zwykle w jakiem upodobanem miejscu i oddają się marzeniom, do których rozbudzania tak dzielnie przyczynia się flora.

Jednostajność w całości, zaniedbanie w szczegółach, okupuje nieskończona rozmaitość drzew owocowych i roślin kwitnących, chociaż Persowie nie szczepią ani krzyżują z sobą żadnych gatunków roślinnych, te bowiem są w ich ogrodach wyłącznym produktem samej natury.

Kwiaty w Persyi zalecają się żywszemi nierównie kolorami niż europejskie, a nawet indyjskie. Hirkania zwłaszcza słynie z przepysznych kwiatów — Manzederan, najwięcej na wschód wysunięty, przedstawia od września do kwietnia, rzec można, jeden prześliczny, barwny ogród.

Obok granic Medyi, przy północnych kresach Arabii, pola wydają same przez się, bez żadnej uprawy, tulipany, anemony, karminowe jaskry i wspaniałe korony cesarskie. Około Ispahanu krzewią się żonkile (Narcissus Jonquilla), narcyzy, konwalie, lilie, różnobarwne fiołki, goździki indyjskie olśniewających barw, wreszcie jaśminy zwane hiszpańskiemi, piękniejsze i wonniejsze od pleniących się w Europie. W miesiącach wiosennych rozwijają się goździki żółte i czerwone różnorodnych odmian, róże białe, żółte i pąsowe, czerwono-białe, lub żółto-czerwone; często też widzieć można na jednym krzewie róże barw całkiem odmiennych.

Trudno znaleźć coś bardziej uroczego nad rozkwitające w Persyi krzewy, zwłaszcza też brzoskwinie; takiem bowiem przyozdabiają się bogactwem kwiecia, że wzrok nie może przedrzeć się w głębię liści.

Dynastya Sefewysów, najintelligentniejsza z tych wszystkich które rządziły Persyą od czasów Sassanidów, ze swej stolicy Ispahanu uczyniła cudo architektury. Pałace, szkoły nawet, protegowane przez matkę szacha Abbasa wielkiego, stanęły wpośród czarujących podwórców, otoczonych kwiatami i platanami. Dziś pozostały zaledwie ślady z całego tego przepychu współczesnego Wersalowi, Chantilly i Sceaux. Ogrody serajowe, pomimo wielkiej ich foremności, przedstawiają całość bardzo ponętną, którą składają sadzawki, ptaszarnie, pawilony i pałace ujęte w ramy wspaniałych drzew i kwiatów.

Pola elizejskie razem z aleją Neuilly, nie mogą dawać nawet słabego wyobrażenia o wielkiej alei Ispahanu, przerzniętej w środku okazałym mostem, mającej przeszło 10.400 stóp długości, a około 350 stóp szerokości.

(c. d. n).

U OGNISKA.

V.

Karnawał już goni ostatkami... za dni niewiele zakończy biedaczysko swój żywot dwumiesięczny, będący jednem pasmem zawiedzionych nadziei dla niemałej liczby osób wszelakiego wieku i stanu. Od rzemieślnika, który mniemał, że ciężką pracą rąk polepszy w porze zapustnej byt swojej rodziny, aż do *posagowicza*, który niemniej ciężką pracą nóg wytańcowywał sobie *dobrą partyę*, wszędzie baczny spostrzegacz ujrzy jawny lub źle tajony smutek i rozczarowanie...

Dola jednych i drugich, lubo jednakowa, wcale różne nasuwa nam myśli i skłania do kilku uwag, któremi dzielimy się z czytelnikami. Rzemieślnik—wcale niewinnie—pada ofiarą biedy ogólnej i w ślad za tem idącej oszczędności w wydatkach, oraz łatwo zrozumiałej niechęci do wystawnych zabaw; posagowicz, dopisawszy

większą lub mniejszą kwotę do ogólnej cyfry swoich długów, może wśród ciszy wielkopostnej oddać się rozmyślaniom nad tem, że i on padł ofiarą... coraz bardziej uwydatniającej się zmiany w poglądach i usposobieniu ojców i matek, posiadających, oprócz córek na wydaniu, i jaką taką fortunkę. Pocieszająca ta zmiana jest rzeczywiście bardzo widoczną: polor salonowy, paplanina nadsekwańska akcentem nadwiślańskim, zręczne wykręcanie się na śliskich posadzkach, dowodzące wielkiej do zawodu baletniczego zdolności,—wszystko to coraz mniej ma pokupu... zmądrzeliśmy widocznie, ku wielkiej rozpaczy owych pozłacanych młodzieńców, których, niestety!—zanadto wielu jeszcze nasze społeczeństwo posiada. Od przyszłych zięciów zaczynamy żądać zalet trwalszych i głębszych: zacnego charakteru, gruntownego wykształcenia i zamiłowania w pracy... te przymioty trudno rozpoznać i ocenić za pomocą walca lub kadryla...

Może zarzucicie mi, łaskawi Czytelnicy, że zanadto optymistycznie zapatruję się na tę sprawę; może piękne Czytelniczki powiedzą, że i dziś niemniejsza niż dawniej kojarzy się liczba małżeństw *balowych*, kończących się smutnym epilogiem rozczarowania, łez i obustronnych wyrzutów. Otóż nie. Pogląd swój opieram na faktach, na rzeczywistych wydarzeniach: pozwolę sobie nawet jedno z tych zdarzeń przytoczyć, ponieważ będąc jak najzupełniej prawdziwem, zakrawa przecież na ustęp z powieści.

Pewien obywatel, zamożny i poważany powszechnie, miał córkę «na wydaniu». Nie potrzebuję dodawać, że konkurentów nie brakowało. Przypadkiem (ale nie na balu) poznał «posażną jedynaczkę» młody człowiek, którego całym majątkiem było dobre imię, prawy charakter, spory zasób nauki i zamiłowanie do pracy, czego czynne składał dowody. Przyznacie, że to wcale niedostateczny list polecający w naszem zmateryalizowanem stuleciu! Otóż, mój bohater (używam wyrażenia zwykłego w powieściach) zakochał się; ukrywał jednakże swoją miłość, bo i na cóż zdało się marzyć, gdy tak wysokie były progi!?..Aliċ—znowu przypadkiem—młody człowiek został wybrany do komitetu, urządzającego przestawienie amatorskie na cel dobroczynny, i włożono nań obowiązek, aby pannę K. zaprosił do współudziału. Pojechał więc; ale jak?... pożyczaną czwórką?... bodaj najętym powozem?... Bynajmniej. Mój bohater—i tutaj słusznie bohaterem nazwać go mogę—mężnie odparł chwilową pokusę i uznając słuszność starej jak świat prawdy, że ubóstwo nie jest grzechem, że tylko powierzchowny człowiek ceni wszystko z błyszczącego pozoru, postawił odrazu przyszłość swoją na kartę i zajechał do swojej bogdanki... o zgrozo!... prostym, chłopskim wózkiem, w dwie białe, lecz niepozorne szkapki zaprzężonym; parę wiązek siana, skromną derką pokrytych, zastępowało powozowe poduszki.

I cóż powiecie? ten krok właśnie chwycił za serce zacnego ojca i bynajmniej nie zaszkodził mojemu bohaterowi w oczach panny, obdarzonej sercem i główką nie od parady. Przyjęty gościnnie i serdecznie, zaczął nabierać otuchy... zaczął wierzyć że to, o czem nawet marzyć nie śmiał, urzeczywistnić się może... pojechał więc raz drugi, trzeci i dziesiąty, tym samym chłopskim wózkiem, temi samemi białemi szkapkami, ku wielkiemu zgorszeniu,—a zarazem i radości—współzawodników, mających rozlicznego kształtu i nazwy *ekwipaże* na usługi. Skończyło się, jak zwykle w powieści: Numa poszła za Pompiliusza. Ale nie sądźcie, że mój bohater poszedł na «chleb żony»; nie podejrzywajcie że i on, wzorem innych, *dobrą partyę* miał na myśli. Nie wziął on ani grosza posagu i pracuje dwa razy usilniej niż wprzódy, bo pracuje dla żony, którą zawsze jednakową otacza miłością, i dla niemniej ukochanego dziecka; a ojciec, szczęściem córki szczęśliwy, zięcia swojego z dumą za wzór innym ojcom i konkurentom podaje.

Może popełniamy niedyskrecyę, głosząc rzecz czysto prywatnej natury; ale nie mogliśmy się powstrzymać od udzielenia jej Czytelnikom... bodaj mnożyły się u nas jak najobficiej podobne przykłady!

* * *

Skończywszy obrachunek z karnawałem, przejdźmy do rzeczy bieżących. Zaczynamy tedy wielki post, sześć tygodni... niegdyś rzeczywistej pokuty... dziś oby chociaż poważnego nastroju i rozmyślania!.. Przyznać trzeba, że wielki post wcale inną cechę posiada na wsi niż w mieście. W domach ziemian, w chatach wieśniaków, jest on widoczny na każdym kroku: atmosfera wiejska przesiąka wówczas — że się tak wyrażę — podwójną uroczystością: budzącej się ze snu zimowego przyrody i bliskiej pamiątki Zmartwychwstania Pańskiego. W mieście, w tem zbiorowisku tylu różnorodnych dążeń, interesów i potrzeb, ruch i życie wre jak zawsze, i tylko brak zabaw *tańczonych* świadczy o przeminięciu karnawału. Nie brak za to innych rozrywek, prywatnych i publicznych, a między temi ostatniemi pierwsze miejsce zajmują teatra i koncerta. Pogadankę o teatrach naszych odkładam na później, a dziś zamierzam pokrótce dotknąć kwestyi mającej bliską styczność z koncertami.

Komitet Towarzystwa Muzycznego powziął myśl śmiałą: wybudowania osobnego gmachu na swoje pomieszczenie. Myśl to istotnie dobra w zasadzie: komorne sal redutowych przedstawia cyfrę wcale pokaźną, która będąc pokrywaną ze składek członków, wyczerpuje przeważną część dochodów Towarzystwa i tamuje przez to rozwój jego działalności w kierunku najdodatniejszym, to jest: w udzielaniu czynnej pomocy młodym wirtuozom, kompozytorom i śpiewakom, w popieraniu dobrych wydawnictw muzycznych i t. p. Nie sama tylko rozrywka powinna być, jak mniemam, zadaniem i celem każdego towarzystwa, które pragnie żyć długo i trwały pomnik swej działalności zbudować ku pożytkowi żyjących i potomnych, oraz ku własnej chwale. *Zachęta*, o ile wiem, figuruje w ustawie Towarzystwa Muzycznego: nawet dowody jej i owoce znamy; ale jakże maleńką jest summa wydawana corocznie na ten cel, który, powtarzam, powinienby stać na miejscu pierwszem, w porównaniu z tysiącami, które pochłania najem lokalu! A lokal ów przecie służy jedynie do tego, aby licznym członkom Towarzystwa dostarczać w środy i piątki taniej muzyki...

W pogawędce przy ognisku, trudno jest kronikarzowi wyczerpująco ten przedmiot traktować; powiem więc tylko, że projekt budowy gmachu o tyle, jak sądzę, godzien jest poparcia, o ile doprowadzenie go do skutku nie obciąży przyszłych budżetów Towarzystwa. Prawda, że sale redutowe są nieakustyczne, że rozkład ich, a raczej plan w kształcie litery T jest wcale nieodpowiedni dla sali koncertowej; i to prawda, że dobra sala taka przydałaby się Warszawie, bo w resursie obywatelskiej dźwięki się łamią, ogłuszając bliższych, a do dalszych dochodząc mglisto i chaotycznie; wszystko to prawda... ale jeżeli np. procent od pożyczki na budowę zaciągniętej pochłaniać będzie corocznie tyleż, co obecnie komorne, a może i więcej, to wówczas Towarzystwo,—lękamy się—stanie na pochyłości wcale niebezpiecznej, bo zacznie eskontować przyszłość... a zysk?... Zysk jedyny będzie chyba ten, że członek «fundator» lub członek «ofiarodawca», słuchając potrojonych kwartetów i śpiewów chóralnych we środy, a pojedynczych kwartetów i śpiewów solowych w piątki, słuchać ich będzie z tem błogiem przeświadczeniem, że siedzi w «swojej własnej» sali i na «swojem własnem» *dożywotniem* krześle. Nazwa

się zmieni, rzecz pozostanie ta sama. Towarzystwo, jak było dotąd, tak i nadal będzie towarzystwem zabawy, a pragniemy szczerze, aby z tego stanowiska podniosło się na wyższe: aby rzeczywiście zajęło się krzewieniem *oświaty muzycznej* i przynosiło pożytek krajowi.

* * *

Nie mam zamiaru występować z projektem, któryby zdołał wypełnić dwa te warunki: dać Towarzystwu gmach odpowiedni i zarazem zmniejszyć wydatki na zabawę łożone,—bo, wyznaję, rzecz to wcale niełatwa. Zaznaczywszy tylko pobieżnie dążenie Komitetu i trudność położenia, przechodzę do samychże koncertów, jako zabaw wielkopostnych. Koncerta warszawskie, jest to temat nader obszerny, godzien osobnego a długiego artykułu, któremu możnaby dać tytuł: «fizyologia koncertów» albo «charakterystyka» albo: «rzut oka na koncerta warszawskie» albo: «pogląd na»... albo: «kilka słów o»... albo: «uwagi nad»... i t. p. Mniejsza zresztą o tytuł, ale rzecz sama godną jest zastanowienia. Koncerta warszawskie przez długi czas podobne były do morza: ma ono, jak wiemy, przypływ i odpływ po dwa razy na dobę; w koncertach warszawskich to zjawisko spostrzegać się dawało dwa razy do roku. Przypływ pierwszy rozpoczynał się przed adwentem, w późnej jesieni, a kończył z Nowym Rokiem. Karnawał był czasem odpływu. Przypływ drugi rozpoczynał się z popielcem i trwał niemal do Wielkiejnocy, niekiedy trochę dłużej. Wiosna i lato były epoką drugiego odpływu, ciszy, spokoju... Obecnie, ani przypływ nie dosięga tych rozmiarów co wprzódy, ani odpływ nie jest zupełny: okres ciszy zimowej uprzyjemniają dźwięki rozlegające się w salach redutowych, ciszę zaś letnią urozmaicają koncerta w Dolinie szwajcarskiej. Jesteśmy więc bez przerwy karmieni melodyą i harmonią; rozmuzykalniliśmy się nie na żarty... mam tego najlepszy dowód na sobie, bo w chwili gdy piszę te wyrazy, dolatują mnie z dołu dźwięki walca Chopina, z lewej strony czwororęczne potpourri z Traviaty, z prawej «Aufschwung» Schumanna, grany w tempie żałobnego marsza, a nademną dwoje skrzypców, altówka i wiolonczela ćwiertują poczciwego Haydna. W obec tylu dotykalnych dla naszych uszu dowodów zamiłowania w muzyce, w obec ścisku na produkcyach orkiestr zagranicznych w Dolinie, pytam: czem się to dzieje, że koncerta artystów pojedynczych, bądź to wirtuozów bądź kompozytorów, coraz mniej zwabiają publiczności?

Ponętę koncertu stanowi przecie albo wirtuoz, wykonywający program pierwszorzędnej wartości, albo nieznane dzieła występującego kompozytora. Czemuż więc, jeśli jesteśmy muzykalni, Joachim i Wilhelmi grali przed niemal pustemi ławkami? Czemu Carlotta Patti ściągnęła tłumy słuchaczy? Czemu wszystkie niemal koncerta miejscowych artystów od dwóch lat stałem cieszą się niepowodzeniem? Wiele jeszcze razy mógłbym zapytać: czemu...

Wyczerpująca na to odpowiedź wymagałaby nader długiej rozprawy. Powiem więc tylko, iż—dla mnie—liczne objawy tego rodzaju są dowodem, że do naszych koncertów, ba! i do naszej muzykalności—można zastować to, co Fredro powiedział o teatrach,

. . . . .gdzie równe oklaski
Odbiera wiersz Szyllera i wodewil płaski.

Czyli, że słuchamy bez wyboru; sypiemy oklaski z równym dla wszystkiego zapałem, stawiamy nieraz, pod wrażeniem chwili, na jednym poziomie geniusz i mierność, słowem, *oświata muzyczna* wcale się u nas jeszcze nie rozkrzewiła... a resztę

Niechaj czuły Czytelnik w duszy swej dośpiewa.

* * *

W obec takiego usposobienia muzykalnego ogółu, w obec częstych produkcyj w Towarzystwie Muzycznem, nic dziwnego że o koncertach, poza obrębem tegoż, dotąd jakoś nie słychać, pomimo że wielki post za pasem. Nie dziwię się ostrożności artystów, którzy zazwyczaj nie są tak szczodrze od fortuny uposażeni, aby mogli po sto rubli i więcej dopłacać za przyjemność popisywania się przed pustemi krzesłami, których czarne numera wyglądają jak tyleż ust, szyderczym śmiechem wykrzywionych i mówiących: «A widzisz, śmiałku! trzeba ci tego było? Ci, co na nas siadywali niegdyś, już nie pojawią się wcale... na co im płacić rubla za parę godzin, kiedy za sześć rubli mają muzyki całe kilkadziesiąt wieczorów, i ciebie tam mogą słyszeć nieraz, a prawie za darmo!...» Dość, że ta wielkopostna rozrywka, jedna z najmilszych i na tę porę najstosowniejszych, dla nie-członków naszej instytucyi wieczorowo-muzycznej jaśnieć będzie swoją nieobecnością. Zanosi się na to.

Cóż więc począć z wieczorami wielkopostnemi? Do włoskiej opery nie każdy żywi gorące zamiłowanie i nie każdy jest wielbicielem *à tout prix* chórów unisono i nieco podstarzałych melodyj Verdi'ego i spółki; teatr rozmaitości ciągnie ku sobie sercem... to prawda, — ależ i tam codzień bywać niepodobna... z popisów muzycznych korzystać mogą — jak mówiłem — tylko członkowie Towarzystwa Muzycznego; zebrań prywatnych niewiele... cóż począć z długiemi jeszcze wieczorami?

Te chwile, mili Czytelnicy, najlepiej zapełnia — książka, zarówno w mieście jak na wsi. Czytajcie jak najwięcej i — jak najlepszych pism peryodycznych i książek... tego wam z serca życzymy. Ruch wydawniczy w Warszawie wzmaga się z każdym rokiem, z każdą chwilą nieledwie, i poszukawszy starannie, znajdziecie pewną liczbę dzieł, bądź dla nauki bądź dla rozrywki przeznaczonych, godnych powiększyć wasze księgozbiory. Powtarzam jednakże, iż wybór Wasz winien być oględny i staranny. Piśmiennictwo nasze bowiem znajduje się od pewnego czasu w dziwnej jakiejś fazie, którą szczerze radbym nazwać przejściową i co rychlej końca jej doczekać... a tymczasem nazwę ją fazą *tłumaczeniową*. Ogarnęła nas istna epidemia tłumaczeń, i to nietylko dzieł naukowych, — (bo tych tłumaczy się stosunkowo nader mało, i pracy w tym kierunku przyklaskujemy serdecznie, poczytując ją za wielce potrzebną) ale głównie i prawie wyłącznie owej lekkiej a niezawsze zdrowej strawy, która się zowie literaturą belletrystyczną. Angielskie, niemieckie, francuzkie, włoskie, szwedzkie, duńskie powieści, romanse i romansidła, perły i śmiecie, wszystko to tłumaczy się na wyścigi, bez wyboru, bez pamięci... gwoli nakarmienia publiczności, żądnej niby tych — nieraz fermentujących — konfiturek. Maluczko jeszcze — a piśmiennictwo nasze zamiast dzieł oryginalnych i tłumaczonych, liczyć się będzie tylko na tłumaczenia i na *oryginalne* tłumaczenia... tych ostatnich liczba nawet już przeważa, bo polszczyzna tłumaczeń jest po największej części oryginalną własnością tłumaczących. Skażeń językowych mnóstwo — a szkody moralnej jeszcze więcej...

Powieść tłumaczona, choćby najlepszą była, nie zastąpi nigdy oryginalnej i nie zadowolni nigdy, jak ta ostatnia, czytelnika miłującego swoje społeczeństwo i chcącego je poznać. Jest ona zawsze obrazem cudzych stosunków, cudzych wyobrażeń i poglądów, często wcale nie licujących z naszemi... a przytem, czy jest ona istotnie wizerunkiem społeczeństwa, które ma przedstawiać? Rzadko kiedy. Francuzi uśmiechają się ironicznie słysząc przechwałki cudzoziemców, którzy przybywszy do Paryża, na wstępie popisują się ze znajomością życia towarzyskiego paryżan, zaczerpniętą z romansów. Romans jest zawsze tylko fikcyą mniej lub więcej niepraw-

dopodobną, a romans zwłaszcza francuzki dochodzi pod względem nieprawdopodobieństwa do ostateczności. Na cóż przyda się, pytam, zaznajamianie naszego ogółu z temi chorobliwemi postaciami, — płodem równie chorobliwej wyobraźni, — z temi melodramatycznemi efektami, które tylko rozstrój nerwów i rychły przesyt wywołują, z tym całym szeregiem scen wstrętnych i zaraźliwem wiejących tchnieniem, które — w razie najlepszym — kończą się kilkowierszowym sensem moralnym? Każdy kraj w Europie i na całym świecie, wznosi przybytek swego piśmiennictwa na silnym fundamencie dzieł ojczystych, a z literatur obcych zapożycza niewiele i starranny wówczas wybór czyni. My tylko jedni postępujemy wprost przeciwnie: czyżby już zabrakło u nas talentów? czy już tak mało w nas żywotności, że nie posiadając własnych myśli, musimy się ograniczać na mechanicznem przepisywaniu cudzych?

Błahą i bezzasadną jest wymówka, że publiczność tego żąda. Przebieg tej sprawy, w naszem rozumieniu, jest taki: romans tłumaczony kosztuje trzy, nierzadko cztery razy mniej, niż powieść oryginalna; nie zawadzi więc tanim kosztem zapełnić szpalty pisma lub wydać książkę; publiczność nie ma możności nadawania kierunku wydawnictwom, więc czyta to, co jej podają; a że i do asa foetydy przyzwyczaić się można, a w końcu i obejść bez niej trudno, więc smak zepsuty rozwielmożnia się coraz bardziej i koniec końców, ten kto pchnął publiczność na owe tory, z ręką na sercu twierdzić może, iż chcąc nie chcąc musi ulegać żądaniom publiczności i karmić ją asa foetydą.

Wypowiadamy prawdę bez ogródki i wypowiemy ją do końca. Jeżeli nawet doszło do tej ostateczności, że czytelnicy połykają z upodobaniem liche utwory, licho przetłumaczone, a ze wstrętem odpychają rzeczy poważniejszej treści, to ci, którzy sprowadzili chorobę, mają obowiązek ją leczyć. Jeśli belletrystyka nasza jest ubogą, jeśli nie wystarcza na obdzielenie wielkiej mnogości wydawnictw, to sądzimy, że lepiej zbyt obszerny w obecnej chwili dział ten zmniejszyć, aniżeli dalej postępować dotychczasowym manowcem. Mniej wówczas będzie rozrywki, za to więcej pożytku. Jesteśmy pewni, że *sumienni* kierownicy naszego piśmiennictwa nie zaprzeczą słuszności tego zdania.

Co do nas, poczytujemy sobie za obowiązek powiedzieć, że jesteśmy i zawsze będziemy wierni wypowiedzianym dopiero co zasadom. «Ognisko Domowe» nie będzie szukać zniczowego płomienia za górami i morzem, a w każdym razie, dodatnia cecha nielicznych tłumaczeń naszych, dzieł przeważnie użytecznych, nie będzie podlegać żadnej wątpliwości. Wiemy, że zwolennicy ostrych przysmaków zarzucają nam zbyteczną powagę. «Ognisko Domowe» nie może być innem. Lecz wiemy także, iż za nami stoi cały zacny, a — dzięki Bogu! — liczny zastęp zdrowo myślącej i czującej publiczności. Silni tem poparciem, walczyć będziemy przeciwko miazmatom obczyzny, dopóki sił nam starczy. A jeśliby okazało się, iż przedwcześnie wołaliśmy: *sursum corda*! — to nagrodą zwyciężonych będzie przeświadczenie, iż upadli zacnej broniąc sprawy.

Korzystnem jest powodzenie, ale niezawsze zaszczytnem; dla tego też kładziemy je na drugiem miejscu i nie na niem opierać będziemy prawo — jeśli przy szczerej pracy zdołamy je uzyskać — do zasługi około dobra naszych Czytelników; bo nie przestaliśmy wierzyć

Że choć bezpieczniej okręt opuścić i płynąć,
Poczciwiej być w okręcie, ocalić — lub zginąć.

Z DOMU I DLA DOMU.

Kilka słów o drobiu. — Ptactwo domowe ważne zajmuje stanowisko w gospodarstwie kobiecem jako niezbędny artykuł kuchni, a w gospodarstwie społecznem jako przedmiot produkcyi. Gdzież więc stosowniej niż przy ognisku domowem pogwarzyć *kilka słów o drobiu*. Bierzemy się tem chętniej do pomówienia w tej sprawie, że nie zdarzyło nam się nic innego spotkać w czasopismach naszych, oprócz skarg na drożyznę drobiu w stolicy, na brak zamiłowania naszych gospodyń do hodowli tej *domowej zwierzyny* i oprócz przepisów o hodowaniu indyków. O ile sobie przypominamy, poruszaliśmy także sami kwestyę drobiu w jednej korespondencyi ze wsi, ale było to już dawno, i w piśmie codziennem, gdzie mniejsze artykuły giną szybko w powodzi druku i czasu.

Przedewszystkiem, hodowla drobiu wymaga bardzo dokładnego rachunku i praktyczności; hodowla spekulacyjna może być zyskowna tylko w pobliżu wielkich miast, fabryk i kolei żelaznych. Rachunek, o którym mówimy, polega oczywiście na stosunku wartości pokarmu i w ogóle kosztów hodowli do przychodu w mięsie, pierzu, jajach i nawozie, jaki drób dać może. Wiadomo bowiem, że ptaki w ogólności potrzebują bardzo wiele pokarmu względnie do swego wzrostu i wagi. To też, przy dość wysokich cenach ziarna (np. owsa), drób nigdy tani nie może być, a zwłaszcza kury żyjące głównie zbożem. Dobra gospodyni przeto, powinna głównie baczyć, aby pożywienie drobiu, obok dobroci, posiadało warunki możliwej taniości. W tym też celu, hodowcy drobiu za granicą używają dla niego na pokarm mięsa ze zwierząt niejadalnych przez ludzi, także koniny i robaków, których wielką ilość otrzymują mięszając krew z trocinami, i tę mięszaninę w płytkim rowie przykrywając ziemią na dwa tygodnie, a później w miarę potrzeby robactwa używając. Powyższy system żywienia widzieć można zastosowany pomyślnie i na wielką skalę dokoła Paryża, tego olbrzymiego konsumenta jaj i drobiu.

U nas, ścisły rachunek w hodowli drobiu rzadko napotkać można, lubo troskliwych gospodyń w tej gałęzi domowego gospodarstwa mamy wiele. Każą one skrzętnie zbierać dla drobiu odpadki kuchenne, co jest rzeczą ekonomiczną, ale też i ziarnem szafują nieraz zanadto szczodrze. W ogóle, po dworach i dworkach naszych, chowają drobiu na domową potrzebę niemało. Hodowla ta jest kosztowną ale niezbędną; to też bardzo słusznie p. Koszutski w swoim artykule o *drobiu*, w *Encyklopedyi Rolnictwa*, nazywa ją «złem koniecznem». Gdy bowiem w porze letniej bardzo trudno na wsi o świeże mięso, a często dostać go wcale nie podobna, to drób dostarcza go zawsze, dla zdrowych i słabych, dla wieśniaków i mieszkańców miast, lato na wsi spędzających, a wtedy wyczerpują się zwykle najliczniejsze jego stada.

W każdym razie, do gospodarza należy zbadać ściśle warunki swego gospodarstwa i oznaczyć ile i jakiego drobiu hodować może, ile może w ten sposób zużytkować poslądów zbożowych, i czy odległość od większych miast, fabryk i kolei, pozwala mu na hodowlę spekulacyjną, lub tylko na zaspokojenie domowej potrzeby. Zarówno w pierwszym jak drugim razie (jeżeli *notabene* nie ma żony lub córek zagłębionych we francuzkich romansach) czy może być co przyjemniejszego w wiejskiem podwórzu, nad obrazek z wielkiego poematu:

«Zosia w porannym stroju i z głową odkrytą
Stała, trzymając w ręku podniesione sito.
Do nóg jej biegło ptactwo: ztąd kury szurpate
Toczą się kłębkiem, ztamtąd kogutki czubate,
Wstrząsając koralowe na głowach szyszaki!!...

Ze wszystkich rodzajów drobiu, gęś największe daje zyski w spekulacyjnej hodowli. Utrzymanie gęsi jest najmniej kosztownem, bo żywi się ona i wzrasta na pastwisku, nie potrzebując innego pożywienia. Do zupełnego zaś utuczenia gęsi, potrzeba około 60 funtów wyborowego ziarna, i tem gęś chudą, ważącą 12 funtów, do 28 funtów wagi doprowadzić można. Tym sposobem, trzy i pół funta ziarna produkują w gęsi 1 funt mięsa i smalcu. Przez tuczenie gęsi tatarką w bardzo ciasnem i ciemnem miejscu, wątrobę jej do dwóch funtów wagi doprowadzić można. Nieco siarczyku antymonu dodanego do pokarmu, także przyczynia się do wzrostu wątroby.(¹) Gęś ma tę jeszcze wyższość materyalną nad innym drobiem, że prócz smalcu dostarcza najlepszego pierza i puchu. A jednak, tak zyskowna jej hodowla, spotyka znaczne trudności w lepszych gospodarstwach, i w wielu miejscach bywa wcale niemożebną; ptak ten bowiem trudny w dopilnowaniu, czyni w polach największe szkody i zanieczyszcza pastewniki, a ztąd oddzielnych przestrzeni potrzebuje. To też chowem gęsi zajmują się u nas prawie wyłącznie wieśniacy, a produkcya tego drobiu ogromnych rozmiarów dosięga. Dwóch bowiem mamy w tej mierze potężnych spożywców: jednym są Prusy, do których przez graniczne komory królestwa wywieziono np. w r. 1873 za *pargset tysię-*

(¹) *Encyklopedya Rolnictwa*, II. str. 61.

cy rubli tego produktu; drugim, znacznie większym konsumentem jest miejscowa ludność starozakonna, dla której smalec gęsi zastępuje tłuszcz nierogacizny, przepisy bowiem religijne Żydów, wzbraniają im mleczywa i masła do kraszenia potraw mięsnych. Niemcy wolą gęś kupić niż hodować, co jest najlepszym dowodem, jak trudno znaleźć miejsce dla tego drobiu w dobrem gospodarstwie; starozakonni znowu, nie zajmując się rolnictwem, z konieczności znaczną ilość gęsi kupować muszą.

Jak chów gęsi istnieje u nas prawie wyłącznie w zagrodach włościańskich, tak po dworach i dworkach, a poniekąd i u cząstkowej szlachty, głównym spekulacyjnym drobiem są indyki. Z tego źródła zaopatruje się Warszawa; a sama kolej Petersbursko-Warszawska przywozi z jednej tylko gubernii Łomżyńskiej, corocznie kilkadziesiąt tysięcy tych delikwentów.

Atoli przeszło pół milionowa ludność starozakonna na prowincyi, jest głównym w królestwie konsumentem drobiu wiejskiego, bo każda rodzina tego pogłowia, choćby najbiedniejsza, musi na szabas mieć gęś lub kurę. Ztąd stolica nasza znajduje się w odmiennem położeniu od wszystkich innych wielkich miast Europy: bo gdy tamte dostają pierwociny, to Warszawa otrzymuje resztki prowincyonalnej produkcyi drobiu.

Najmniej rozwiniętą jest u nas spekulacyjna hodowla kurcząt i pulard. Kura wszędzie towarzyszy człowiekowi, żyjąc z nim pod równikiem i w Jakutsku; kości jej znaleziono w resztkach kuchennych przy nawodziskach, czyli mieszkaniach palowych z przedhistorycznej epoki. Kura, powiada p. Koszutski, potrzebuje *czystości, suchości i ciepła* w kurniku. Bez tych trzech warunków marnieć ona będzie, albo szukać pomieszczenia poza kurnikiem. Najlepiej urządzić osobne podwórko dla drobiu, które, jeżeli to jest możliwem, płynąca woda przerzynać powinna. Zbierany starannie nawóz kur, indyków i gołębi opłaca starania, bo należy do najlepszych nawozów, zwłaszcza pod ogrodowizny. Dla oszczędności, można kurnik przybudować do szczytowej ściany obory lub owczarni, a zrobione otwory w ścianie przegrodzić drucianą siatką lub szczeblami; tym sposobem, ciepło z obory lub owczarni ogrzewać będzie kurnik i przedziały zrobione dla innego drobiu. W podwórzu potrzeba dla drobiu dobrego ogrodzenia, aby się nie dostawał do obór i stajen, gdzie żłoby i paszę zanieczyszcza, do ogrodu i na pole, gdzie częstokroć znaczne szkody wyrządza. Bielenie ścian, codzienne przewietrzanie, wymiatanie, posypywanie piaskiem lub gruzem wapiennym i popiołem, jest koniecznym warunkiem zdrowia drobiu, a łatwiej temi środkami zapobiedz jego chorobom, niżeli je leczyć.

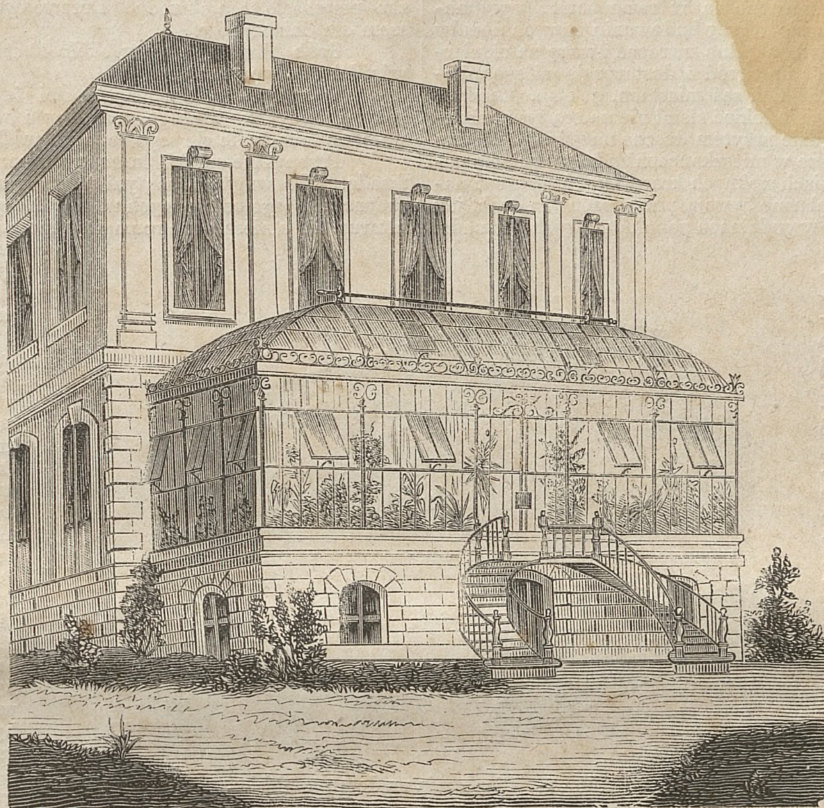


Fig. 1. Dwór wiejski z cieplarnią.

Kura karmiona regularnie, ale nie do zatycia, przytem w zimie w ciepłym kurniku zostająca, znosi rocznie 80—120 jaj. Pokarmem najlepszym dla niej jest ziarno, do czego zwykle używa się poślednie. Pan Koszutski powiada, że dobrze jest zešrutować to ziarno i zmięszać z gotowanemi ziemniakami. Ciepłe, lecz nie gorące jedzenie lubią kury, i ono jest dla nich pożyteczne; karmione rozmaitem robactwem, dają najdelikatniejsze mięso. Ponieważ łupina jaja składa się z wapna, którego kurom dostarczać trzeba, najlepiej więc dawać im pokruszone łupiny jaj, szczególniej w porze zimy.(¹) Kury mające się tuczyć, trzeba posadzić ciasno i tu im dostarczać jedzenia i wody ile chcą. W Holandyi dają im ugotowaną pszenicę, na dwór nie wypuszczają, i po dwóch tygodniach mają drób nader tłusty. W Indyach Wschodnich tuczą kury niedogotowanym ryżem i cukrem przez trzy tygodnie, przyczem wychodzi 2 funty i 20 łutów ryżu, oraz kilka łyżek cukru, który się tylko przez trzy lub cztery dni dodaje. Pierwszego dnia przy rozpoczęciu tuczenia głodzić trzeba kurę, a dopiero gdy się już do więzienia swego przyzwyczai, dawać jej jeść podostatkiem.

Kura wysiada zwykle jaja przez trzy tygodnie. Wedle pana Koszutskiego, dziesiątego dnia można jaja «pławić» t. j. wpuszczać w ciepłą ale nie gorącą wodę, aby się przekonać które się zalęgły a które nie. Jaja które zatoną, wyrzucić należy, pływające zaś są zalęgnięte i zaraz znów pod kurę się je kładzie. Ponieważ ciepło w takiem jaju dochodzi do 30^0 R. a w miejscu w którem się lęgą pisklęta, nie bywa często więcej ciepła nad 10^0 do 12^0 R., ztąd więc pochodzi przyczyna wielkiej śmiertelności, zwłaszcza indycząt. Wylęganie jaj, mianowicie kur, za pomocą umyślnie urządzonych do tego pieców i sztucznego ciepła, sztucznie miało zastosowanie już w odległej starożytności, zwłaszcza w Egipcie. Lecz co pod południowem niebem jest możebnem, to w zimniejszym klimacie napotyka na wielkie przeszkody, z których główną stanowi trudność utrzymania jaj w ciągu trzech tygodni w jednostajnej temperaturze ciepła 30^0 R. Podwyższenie zaś lub zniżenie ciepła zarówno zabija pisklę w jaju w przeciągu godziny.

Jako główną przeszkodę do rozwoju u nas spekulacyjnej hodowli drobiu, uważamy obok znacznych a prawie nieuniknionych kosztów utrzymania, brak odpowiednio urządzonych stosunków handlowych (w tej gałęzi przemysłu) między prowincyą a Warszawą. A tak: wiadomo jest, iż żadna gospodyni wiejska, choć wyhoduje kilkadziesiąt sztuk drobiu na sprzedaż, nie może z nim sama mil kilkanaście a nawet kilka jechać do Warszawy, bo najskromniejszy koszt podróży będzie równy lub przewyższy największy zysk na produkcie. A produkt to najkłopotliwszy do przewozu i zbycia, bo żywy, wymagający ciągłej pieczy i natychmiastowej w mieście sprzedaży. Hurtownych zaś przekupniów drobiu jest w Warszawie mało, trudno ich wyszukać, a jeszcze trudniej nie popaść w ich sidła. Ztąd, praktykowane niekiedy wysyłanie drobiu ze wsi na sprzedaż, pod dozorem sługi lub oficyalisty, zwykle tylko straty przynosi. Zwykle przeto wyczekuje się kupca w domu. W gub. Łomżyńskiej, Siedleckiej i Grodzieńskiej, kupcem takim jest zwykle cząstkowy szlachcic mazowiecki lub podlaski; gdzieindziej przeważnie zajmują się tem Żydzi. Ogólny dobrobyt tych wszystkich handlarzy jest dowodem, jak znaczne zyski przemysł drobiowy im przynosi. Tymczasem, gospodyni wiejska nieraz długo musi wyczekiwać na przybycie takiego kupca, ponosząc stratę na żywieniu drobiu i będąc zależną od nabywcy lub zmowy kilku nabywców, zwłaszcza jeżeli ci są starozakonni.

Zaradzić wszystkiemu złemu i dźwignąć przemysł drobiowy pod większemi miastami i przy kolejach, mogłyby dwa środki, wspólnie działające: Pierwszym, powinna być w Warszawie jakaś na większą skalę drobiarnia, którąby się hurtownem zakupywaniem domowego ptactwa na prowincyi i w miejscu, a rozprzedażą przekupniom, sklepom i restauracyom w mieście zająć powinna. Dom taki rzetelnie prowadzony, ogłaszający się w pismach, mógłby wiele rzeczy załatwiać listownie z ziemiankami, a po cenie umówionej lub obwieszczonej kupować (na wsi lub przywiezione do Warszawy) stada drobiu *na wagę*. Taka bowiem sprzedaż jest najlepsza, a praktykuje się już w niektórych miastach prowincyonalnych, np. w Białymstoku. Dom taki mógłby nawet korzystne

(¹) Niektórzy hodowcy drobiu (widzieliśmy to w Belgii) wystrzegają się tego sposobu i bardzo skrzętnie chowają łupiny od jaj w miejsca, zkąd kury wygrzebać ich nie mogą; twierdzą oni, że kury przyzwyczaiwszy się do łupin, dziobią potem i niszczą znoszone przez siebie jaja. (*Przyp. Red.*)

robić interesa z zagranicą, gdybyśmy mieli dużo drobiu, który tam po wyższych jeszcze niż u nas sprzedaje się cenach. Petersburg mógłby w tym względzie odegrać także arcy-ważną rolę.

Drugim środkiem, powinny być po miastach prowincyonalnych sklepy stowarzyszonych obywatelek, do sprzedaży wszelkiego rodzaju produktów domowych. Kilka słów o takich sklepach zostawiamy sobie na później.

Zygmunt Gloger.

DROBIAZGI.

Cieplarnie w domach mieszkalnych.—W Anglii, Francyi, Holandyi i Ameryce, rozpowszechniają się coraz bardziej cieplarnie budowane ze szkła i żelaza, umieszczane przy ścianie zewnętrznej domu, a nawet na dachach. Miłośnikom kwiatów na wsi i w mieście bliższa o tem wiadomość nie będzie zapewne obojętną. Fig. 1 przedstawia dom mieszkalny wiejski, z takim ogródkiem zimowym, przytykającym do salonu lub pokoju jadalnego. Dla dostarczenia dostatecznej ilości światła do pokoju, zwłaszcza w porze zimowej, w ścianie domu znajdują się drzwi oszklone i okna sięgające do posadzki, które można w razie potrzeby wyjmować i łączyć salon z cieplarnią. Przy budowaniu nowych domów wiejskich, właściciele zaczynają pilną zwracać uwagę na cieplarnie, które w zimie zastępują im ogród i dostarczają miłego miejsca do przechadzki. W wielkich zaś miastach, jak np. Londyn, Paryż, Antwerpia i t. d., gdzie łokieć ziemi nierzadko tysiąc franków i więcej kosztuje, gdzie przytem duszne miejskie powietrze i brak zieloności tem większe w mieszkańcach budzi pragnienie posiadania w swych mieszkaniach pięknych krzewów i kwiatów i napawania się ich wonią, cieplarnie bywają przenoszone na dach, jak to wskazuje Fig. 2. Tam, w godzinach popołudniowych gromadzi się cała rodzina, i wpośród bogatej zwrotnikowej roślinności, wśród kwitnących azalei, kamelij, hyacyntów i t. p., zapomina o zimie i słocie. Naturalną jest rzeczą, że umieszczając ogródek na dachu, należy starannie zabezpieczyć dolne piętra od wilgoci. W tym celu nadaje się podłodze cieplarni nieznaczne pochylenie, a podłogę wykłada się materyałem wodotrwałym, np. betonem. Od strony północnej oszklenie jest zawsze podwójne. Ciepło od kominów najczęściej wystarcza do ogrzewania dachowych cieplarni w zimie. W razie przeciwnym, piec umieszczony w samej cieplarni, lub niewielki kaloryfer, dostarcza potrzebnej ilości ciepła niewielkim kosztem.

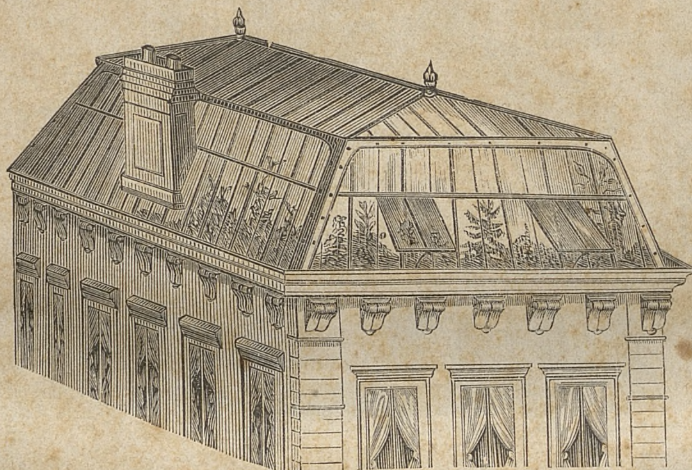


Fig. 2. Cieplarnia na domu miejskim.

Do ogrodu zoologicznego w Londynie sprowadzono w marcu 1875 r., egzemplarz węża indyjskiego, z gatunku zwanego Hamadryadą (Ophiophagus alaps). Wąż ten karmi się wyłącznie żywemi wężami z mniejszych gatunków; że zaś w porze zimowej o taki przysmak w Anglii bardzo trudno, przeto zarząd ogrodu polecił sprowadzić dostateczną liczbę ofiar z krajów południowej Europy. Od czasu swego przybycia do Londynu, potwór o którym mowa, pożarł już sześćdziesięciu dwóch swoich «słabszych braci».

Groby Chińczyków.—W pewnej odległości od góry świętej Taï-Chan, wysokiej na 2,400 stóp, niedaleko bystrej rzeki Ta-Uan, leży miasto Ku-Fu, posiadające mnóstwo grobów i ściągające przez to w mury swoje liczne zastępy pielgrzymów. Chińczycy mają je w wielkiem poszanowaniu.

Na samym wstępie, w gaju odwiecznych cyprysów, wznosi się świątynia księcia Tchan, którego Konfucyusz uważał za wzór mądrości i cnoty; książę ten żył na 1150 lat przed naszą erą, i swojemi talentami, radami i wpływem pomagał bratu swemu, który był założycielem dynastyi Tchan, dość długo w Chinach panującej.

Dalej ku wschodowi spostrzegamy grób cesarza Chan-Han, który żył na 2,500 lat przed narodzeniem Chrystusa. Rzecz szczególna w Chinach, pomnik ten ma kształt piramidy wysokiej na 25 stóp; w obwodzie ma 30 stóp wysokości; Chińczycy nazywają go górą dziesięciu tysięcy kamieni; otoczony jest zewsząd wysokiemi murami i ocieniony wielkiemi cyprysami.

Dalej jeszcze, wznosi się pomnik Sen-Huni'a, ulubionego ucznia Konfucyusza; pod cieniem starych drzew, widzimy tysiące nagrobków, zniszczonych przez lata, bo w Chinach potomkowie znaczniejszego rodu (a nawet i mieszczanie) pragną, aby ich zwłoki spoczywały obok szczątków wielkich ludzi; takie pole spoczynku, uświęcone sławnem imieniem, staje się nienaruszalnem *Sanctuarium*. Przechodząc dalej przez pola i łąki, wchodzi się w wielką aleę, prowadzącą do grobu Konfucyusza; aleja ta po obu stronach ozdobiona jest cyprysami, z których niejedne mają blizko piętnaście stóp obwodu. Drzewo cyprysowe jest najulubieńszem dla Chińczyków.

Grób filozofa, mający około 40 stóp wysokości, wznosi się wśród lasku cyprysowego.

W samym środku miasta stoi świątynia Konfucyusza, olbrzymi budynek, którego rozmiary i wspaniałość przewyższają wszelkie inne budowle tego rodzaju w Chinach.

Przepyszne smoki, kolumny otoczone kwiatami, ozdabiają fasadę. We wnętrzu świątyni spostrzegamy siedzące statuy Konfucyusza i jego celniejszych uczni. Na postumencie w kształcie ołtarza, są umieszczone rozmaite przedmioty sztuki ze złota, srebra, żelaza, porcelany, rogu i kości słoniowej z których niejedne liczą przeszło tysiąc lat wieku.

Obok tej świątyni widać inne pomniejsze, jakoteż kaplice bez liczby, wznoszone to na cześć potomków, to na cześć krewnych i mędrców. Jedna z tych kaplic zawiera w swem wnętrzu trzy portrety, wyryte na stołach marmurowych, które przedstawiają Konfucyusza w wieku młodym, w wieku dojrzałym i zgrzybiałym. Sto innych stołów także z marmuru przedstawiają ważniejsze wydarzenia z życia sławnego filozofa; obrazy te były wyryte jak mówią, zaraz po jego śmierci.

Miasto Ku-Fu zamieszkują potomkowie Konfucyusza. Naczelnik rodziny używa przywilejów cesarskich, i znaczna liczba Chińczyków szanuje go więcej niż samego Cesarza. Jego dwór odwiedzają uczeni i professorowie chińscy, i wespół z nimi to wynajduje ów naczelnik nowe znaki, jakie należy wprowadzić do pisowni; bo chociaż Chiny posiadają w swojej pisowni więcej niż 24,000 znaków, zdarza się jednak potrzeba stwarzania nowych dla oddania nowych myśli.

Rumak parowy. — Profesor Tresca przedłożył niedawno Akademii Paryzkiej model lokomotywy, wynalezionej przez pana Fortin-Hermanna, w której zamiast kół, umieszczone są cztery przyrządy naśladujące nogi, w ten sposób, że lokomotywa nie toczy się, lecz chodzi. Podobno jedna taka lokomotywa już funkcyonuje na «Drodze żelaznej wschodniej» i z łatwością przebywa bardzo znaczne pochyłości, ale nader powoli, bo tylko z szybkością ośmiu do dziewięciu wiorst na godzinę. Jeżeli wynalazca zdoła osiągnąć cel swój ostateczny, to jest: powiększyć szybkość do 25 wiorst na godzinę, wówczas wynalazek jego wprędce rozpowszechniłby się w całym świecie, a zwłaszcza na drogach żelaznych będących dopiero w projekcie, przez to bowiem zdołanoby w znacznej części uniknąć mozolnej i kosztownej niwelacyi, oraz robienia przekopów, które, jak wiadomo, niemałą rubrykę w kosztach budowy dróg żelaznych stanowią.

TREŚĆ NUMERU: Kilka słów o krytyce dzieł sztuki, przez F. Ł. — Z kroniki rodziny ziemiańskiej, p. *K. W. Wójcickiego* (c. d.) — Iskierki z Paryża. (c. d.) — Szkice z dziejów i estetyki ogrodnictwa (c. d.) — U ogniska. — Z domu i dla domu, przez *Zygmunta Glogera.* — Drobiazgi. — W dodatku: Najważniejsze odkrycia i wynalazki, według *L. Figuiera* — z rysunkami ark. 9

Redaktor i Wydawca **Jan Noskowski.**

Druk J. Noskowskiego, Mazowiecka Nr. 11.

Дозволено Цензурою, 17 (29) Февраля 1876 года.